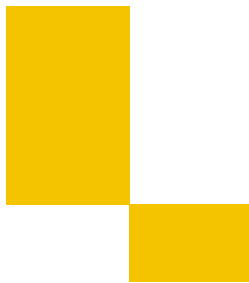


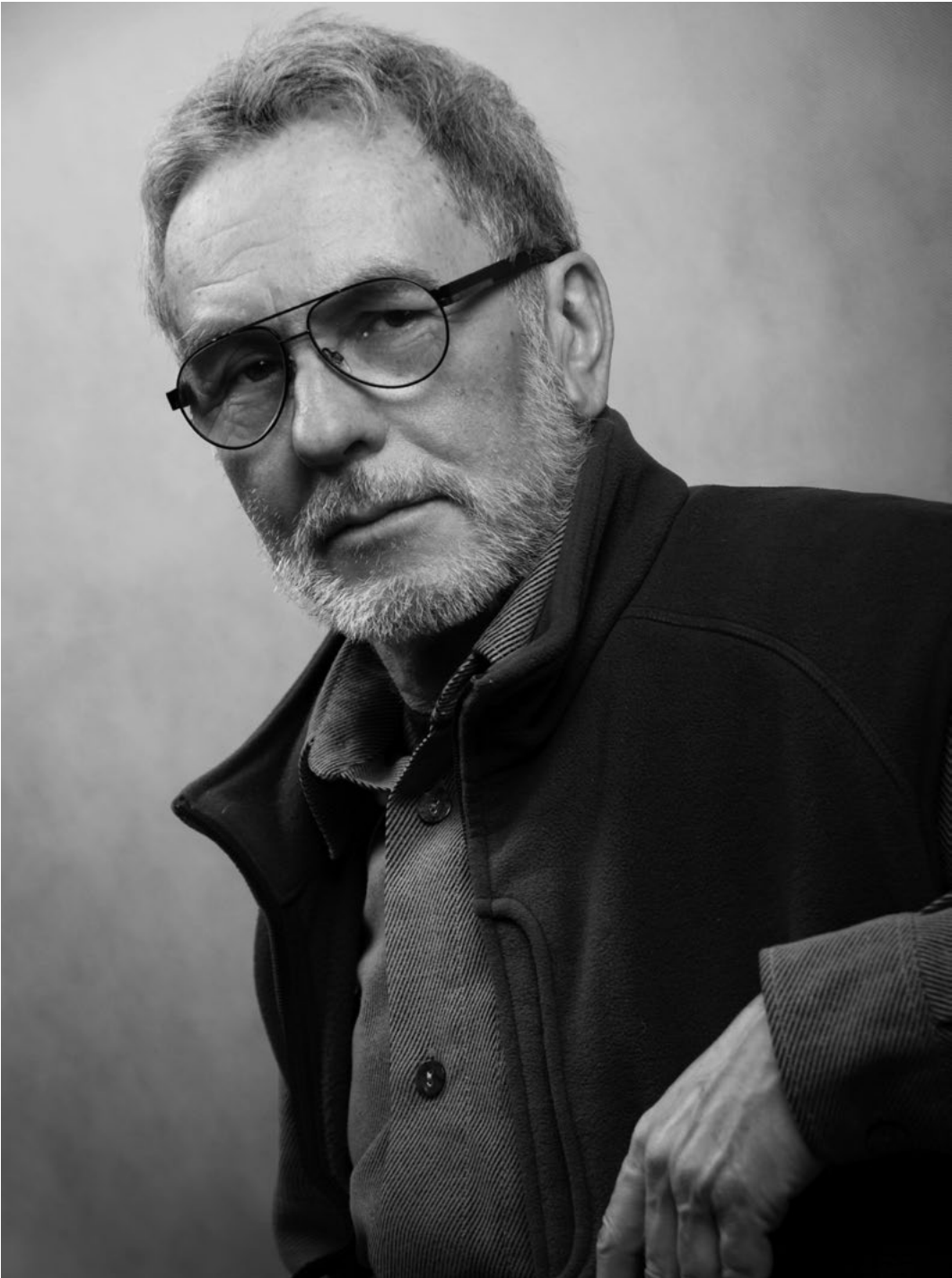


Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
1818

Wydział Form Przemysłowych



1964–2014(+10)



Mieczysław Górowski

Moje korzenie, mój krąg, moje ideały

2011

Moje początki na Wydziale? Byłem asystentem prof. Andrzeja Pawłowskiego. Na własną prośbę odszedłem stamtąd. Podjąłem pracę w Medomie. Z czasem zaproponowano mi pracę w godzinach zleconych, prowadziłem przedmiot u Adama Wodnickiego. Prof. Wodnicki miał zajęcia z podstaw projektowania na pierwszym i drugim roku studiów. Ja prowadziłem na drugim roku projektowanie wstępne. I pierwszym moim rokiem był ten rok asystencki: Ewa Tarnawska, Czesława Frejlich, Sylwester Michalczewski, Adam Miratyński, Anna Jadowska... Tak, to wszystko to była jedna paka. Ale już nie Maria Dziedzic, ona była wcześniej.

W każdym razie to był bardzo dobry rok, w szczególności Miratyński był świetny. No i Frejlich, ona była taka „młodzieżowa”, z ikrą dziewczyna, lubiąca podróże, jakieś towarzystwo. Energiczna. I ten rok mi naprawdę dobrze poszedł, ten pierwszy. Ciekawe miałem efekty, kilka projektów świetnie zostało zrealizowanych.

Tematy? Wokół hasła lekarstwa. Jadowska zrobiła piękny projekt. Taka tacka do rozdzielania leków. Pielęgniarka

ma sale do obsługiwaną, jedna za drugą, i musi mieć to opisane, widzieć co, gdzie. Ma to na jednej tacy, więc czasem potknie się i to się zsunie. Jadowska zrobiła świetną tacę dwudzielną, z przejrzystymi opisami, jasną segregacją. To był jeden z tych tematów.

Następnie to było światło – lampka elektryczna. Tu Miratyński zrobił piękną, składaną lampkę. Jej projekt został już wtedy opublikowany, on odpalił model fantastyczny. Dzisiaj niestety komputer odciąga od manualnych umiejętności, od konkretności w modelowaniu... Teraz to wszyscy studenci uciekają do tego, żeby „na ekranie”. I to też jest niestety skrajność. Popadają w skrajności, jedna w drugą. Nie pamiętam, jakie były dwa tematy kolejne.

Archiwum i dokumentacja

Dokumentację z tamtych i kolejnych lat zostawiłem Annie Szwai... Charakter pracowni zmieniał się, kiedyś to było normalne projektowanie designerskie, projekty pojazdów, autobusów, przyczep. Profilem mojej Pracowni stało się „projektowanie sozologiczne”. Uczestniczyłem niegdyś w ruchu sozologicznym, którego charakter, cele dzisiaj powszechnie określa się mianem ekologii. Krok kolejny, w stosunku do głównych nurtów w projektowaniu, w kulturze. Szukałem innych dróg. Stąd zmiana nazwy pracowni: Pracownia Projektowania Alternatywnego. Aktualna do dzisiaj. To był swego rodzaju antydesign.

Materiały, dokumentacja prowadzonych przeze mnie prac być może znajdują się w Katedrze Podstaw Projektowania, bo tam było wszystko oddawane, stanowiło dorobek tej katedry, kiedyś było pod nadzorem Wodnickiego, potem znalazło się pod nadzorem Miratyńskiego, on to przejął. Sam mam naturę bałaganiarza. Nie dokumentuję. Mnie bardziej cieszy na bieżąco, żeby się działo... Nowe. Lubię budować, ale coś naprawiać – nawet w domu – o Jezu, mnie to mierzi, tym się zajmuje żona. Nie cierpię wracać do czegoś, co uległo destrukcji... chyba że to jakiś antyk. Antyk zdestruktowany czasami jest

sympatyczniejszy niż nowe, w każdym razie nie dokumentowałem i to był mój straszny błąd. Straszny błąd. Zresztą ja nigdy nie byłem tak na bieżąco, zawsze byłem troszeczkę atechniczny. I pomimo tego, że wchodziły coraz to nowe sposoby dokumentowania, fotografowanie takie, takie i takie, ja pozostałem na etapie z modelami.

Może z obowiązku ktoś robił dokumentację wystawy końcoworocznej. Ale to nie było poważnie traktowane, skoro nie mogę sobie tego przypomnieć. Na pewno były robione jakieś zdjęcia, wtedy fotografem był Edward Kulikowski. Jeszcze za czasów Pawłowskiego był Aleksander Nowak. Oni byli fotografami i obsługiwali, jak teraz Aleksy Pawluczuk. Latali z aparatami i gdzieś to robili wszystko. Z wystaw końcoworocznych na pewno gdzieś są. Szczerze, to ja znam tych fotografów, co byli na etacie. Strata to, że nie ma tych wszystkich zdjęć. Dziura po prostu. Okropna dziura. Wydziałowa. To też pewnie nie tylko w moim przypadku, tak podejrzewam. Ryszard Otręba – on na pewno dokumentował, z kolei tylko swój kierunek. O sobie dba niesłychanie. Pawłowski, on był zawsze pilnujący trochę... U Marysi nic takiego nie ma? Żeby było coś z czasów Pawłowskiego z całokształtu działalności Wydziału.

Ale to jest mądre, to jest potrzebne, tylko że też można popaść w jakieś takie urzędactwo. Ja sobie wyrzucam wiele rzeczy, zresztą nie tylko to. Mogłem zrobić lepiej, mogłem to zrobić. Być może ja mam coś, tak podejrzewam. Mam pudło całe negatywów. Pudło, dosłownie. Tam mogą być i z wydarzeń prywatnych, jakieś wyjazdy. Ale mogą być również i prace. Muszę zerknąć w to pudło. Ktoś powinien je po prostu wziąć. Dzisiaj można to skanować.

Język i wykształcenie

W ogóle jeśli chodzi o projektantów, nie mają wykształconego języka, aby mówić o projektowaniu, designie z jakiejś ogólnej perspektywy. Brak wykształcenia, żeby biegle się posługiwać i dogłębnie dozować pojęcia z pełnym

zrozumieniem. Natomiast czasami ludzie próbują naśladować takim słownictwem i czasami nie sprawdzą, co to w ogóle oznacza, skąd to pochodzi, jaki to ma sens...

Gazet to właściwie dotąd prawie nie czytałem. Dziennik po raz pierwszy przeczytałem od deski do deski, leżąc w szpitalu. „Dziennik Polski”. W każdym razie nie czytałem bzdur. Ani nic o sporcie... o sporcie mnie to jakoś nie interesuje, nie śledzę tego, natomiast te społeczne i polityczne, kulturalne wydarzenia – to różni ludzie się na te tematy eksploatują i mniej czy bardziej człowiekowi się coś otwiera, ma jakieś tam pojęcie.

Kontakty

Oczywiście ja jako asystent bardzo młody jeszcze, początkujący bardziej parzyłem herbatę, niemniej przysłuchiwałem się, jak przyjeżdżał Szymon Bojko, przyjeżdżał Ryszard Bojar, przyjeżdżali bracia Glasenappowie z Niemiec. Różni ludzie się tam kręcili, Duńczycy, Norwegowie, Finowie itd. To było na porządku dziennym, niesłychane. To były kontakty z wielkimi rzeczami, wielkimi sprawami.

Szacunek

Bywałem przecież u Pawłowskiego w domu wieczorami, jeszcze pamiętam synków, to przecież jak ja tam chodziłem, to Marek, najmłodszy, jeszcze biegał na czterech nogach po podłodze. Zawsze bardzo grzeczni, na baczność stawali, witali się Maciek i Marcin. Taki stosunek do gości kogoś gotowego i oddającego uszanowanie, nawet honor. To się właśnie zdarza w rodzinach dobrze wychowujących dzieci, że rodzice przywołują, jak ktoś przyjdzie, i się wita ze wszystkimi, w sznureczek wszystkie dzieci się ustawiają.

Antoś Kopciuch. Wzniesć się, uszanować

Pawłowski był ogromnie pomocny jako człowiek. Nigdy nie zdarzało się, żeby nie wysłuchał, nawet jak mu się

spieszyło, jak nie miał czasu. W spokoju przyjął, wysłuchał i w miarę możliwości zaradził. Umiał docenić wartości. Natychmiast wyłapywał.

Był taki sprzątac, Kopciuch. Antoś. Kto o nim pamięta? Kopciuch z Kopciuchową mieli na Wydziale, wtedy jeszcze z siedzibą na Humberta, kiosk spożywczy. Ona piekła pączki różne. Fantastyczne. No, a Kopciuch był sprzątacem. Kiedyś Pawłowski przyniósł do użytku taki komplet zaśnieżonych łyżeczek srebrnych. Te łyżeczki były piękne. Przychodzimy kiedyś, a Kopciuch papierem ściernym wyczyścił tak, że błyszczało się jak cholera. Rany Boskie, co ten Antoś zrobił, co ten Antoś narobił, po jasną cholerę... I przyszedł Antoś. Pawłowski wtedy:

– Panie Antosiu, serdecznie panu dziękuję, serdecznie panu dziękuję, pan tyle sobie zadał wysiłku, jakie one teraz są piękne.

Potrafił ponad to wszystko się wznieść i uszanować chęci. Uszanować chęci. Przecież taki Kopciuch był przekonany, że on robi znakomitą przysługę, my nie mamy czasu, by się tym zająć, to on to już wypucował. Świetnie ten Kopciuch też wychował wspaniałych synów. Jeden jest chirurgiem, nawet u Tadeusza Popieli był asystentem. Mówili, że on jest jeszcze taki młody, trzyma haki, ale od tego się zaczyna.

Rozumiejący ateista

Wacław Pieniądz był bardzo praktykującym katolikiem i chodził także na nieszpory. Bywało, że gdy ustalało się czas jakiegoś zebrania, Pawłowski mówił:

– Tak, ale o tej godzinie Wacek ma nieszpory, nie możemy, będziemy musieli przesunąć...

Pawłowski był ateistą, ale nie manifestował żadnych przekonań, on niesłuchanie był rozumiejący, tolerancyjny. Natomiast sam nie praktykował, a synowie jak gdyby przejęli to po nim i raczej też nie.

Ręce – Genesis

Bóg jakoś się pojawia u Pawłowskiego, w jego *Genesis*, cyklu fotografii.

Niesłuchanie prostymi środkami i jak dogłębnie potrafił tyle wyrazić. Wiem, kiedy to było. Gdy pojechał do Rabki. Miał aparat, kładł na piersi...

Ręce miał piękne. Miał ręce, które bardzo były ruchliwe. To znaczy miał wiele takich możliwości, których ja nie mam, potrafił tymi palcami wywijać, wyginać. Takie kościaste, suche, duże, ładne, piękne ręce, szlachetne.

Podobno Marii Osterwie-Czekaj nie pozwolili oglądać odbitek, gdy wraz z Wackiem Nowakiem razem robili te fotografie. Ktoś jej powiedział, że to pornografia. To może Jasiu Kolanowski sobie tak zażartował. To był żartowniś. Wtedy ten cykl nazywał się jeszcze *Ręce*.

Kiedyś go poprosiłem, aby ze swoją ręką pozował mi do jakiegoś plakatu, który właśnie robiłem. Ja tam chciałem jakby studium ręki sobie przeprowadzić. Poprosiłem, żeby mi zrobił taki gest. Na balkonie to było chyba w Zakopanem. Co on zrobił!

Wieś

Kiedyś jakieś były porządki, remont. Zamieniali stoły w pracowniach. Przedtem miały wszystkie blaty z drewna lipowego, takie wielkie. Ostatnio taki stół zostawiłem u Ani Szwai. Ania go tam trochę podczyściła, piękny jest. Prawdziwa lipa. Ma przeżycia wieloletnie.

Przemeblowanie w pracowniach. Ja mówię:

– Panie profesorze, czy ja mógłbym sobie tę deskę wziąć?

– A ja cię już przejrzałem, wiem, co tobie pachnie. Wiem, co tobie pachnie.

Znając moje pasje, Pawłowski był otwarty dla mnie, asystenta. Kiedy były targi staroci, on mi robił po prostu wolne. Wtedy ja nie miałem obciążeń. Wtorek, piątek – tak wtedy były targi.

– Mietek to przynieś coś ciekawego – do mnie mówił.

Pawłowski rozpoznał, że ja pochodziłem ze wsi. Dla mnie obyczajowość wiejska była czymś, czym się chwaliłem bardzo, nie zaparłem się tego. Absolutnie ja jestem bardzo szczęśliwy, że jestem ze wsi. Nie brak takich profesorów, którzy z pogardą odnoszą się do własnych korzeni. Są tacy. O Boże. To jest dramat. Takiemu ciężko jest żyć. Musi starać się wywyższać. To oderwanie od ducha obyczajów, obzędów, narzędzi, wyposażenia domu itd. Taki mówi już nie bez wzgardy, mówi o „ludowości”, ale cieszy go „cepelia”, te niby-góralskie rzeczy, a już produkty, ta powierzchowność, tandeta, jednak masowa, wypaczenie kompletne istoty. Wzory stają się wzorkami. Stylizacje na coś.

Pawłowski to zauważył. Kiedyś rozmawialiśmy na ten temat i on mówi:

– Jakbyś ty popróbował też takiego kierunku, ażeby wpieść w projektowanie te doświadczenia, jakie masz z życia na wsi, narzędzia itd.?

I tak to się zaczęło. Ja to podchwyciłem natychmiast. Tak że to był w gruncie rzeczy pomysł Pawłowskiego. On mnie natchnął w pewnym stopniu. Dał mi szansę. Ja sam nie miałem na tyle odwagi, żeby to wprowadzić.

Poszedłem w kierunku odmiennym niż ten przemysłowy. Na Formach Przemysłowych byłaby to alternatywa. Zająłem się tym projektowaniem o podejściu naturalnym. Z czasem znalazłem dla niego określenie: projektowanie sozologiczne. To pojęcie związane z ekologią. Wtedy prawie nie mówiło się o ekologii, ale słowo „sozologia” prawie w ogóle nie było znane.

Stylizacja

Pojęcie stylizacji wskazywało na pewne ukierunkowanie działania, nacisk na to, co zewnętrzne. Sprawianie pozoru, raczej bez bliższego, a tym bardziej dogłębnego roztrząśnienia sprawy. Stąd styliści, na przykład styliści samochodów, designerzy. Oni mają pewną orientację techniczną, bez tego całkowicie się nie da, oni czasami nawet mogą robić wbrew

aktualnym możliwościom technicznym, żeby sprowokować inżynierów do pomysłu, wynalazku technicznego, aby ich pomysł uczynić możliwym. Działanie prowokacyjne, impuls do innowacji. Niemniej jednak to są styliści.

Przypadek Štefana Kleina wiele uczy. On jest znakomitym designerem, a ma przy tym również ukończone studia inżynierskie, zdolności konstruktorskie, tak że to jest komplet.

Klub Ekologiczny w Krakowie

To był czas, kiedy zmieniał się system, nadchodził czas Solidarności itd. Ja należałem do klubu ekologicznego jako jeden z jego pierwszych członków, związany z jego założycielami. Tam było troje: Krystian Waksmundzki, Stefan Maciejewski i Michalina Białecka z „Gazety Krakowskiej”. To byli szefowie. I był jeszcze prezydent, ten wiceprezydent Krzysztof Görlich też się ekologicznie angażował. I ja wtedy mocno działałem po linii ekologii, między innymi współtworząc akcję ze Skawiną, największym truciścielem w regionie. To chyba był już rok 1980. Spotkałaby mnie bezwzględna kara ze strony partii, komunistów z partii czy Służby Bezpieczeństwa, ale oni czuli się już osłabieni. Nie musiałem nawet odpokutować. To było już przed Sierpniem '80, powstaniem Solidarności. Oni już czuli pismo nosem, że coś z tego może być niedobrego, i zaczęli się ustawiać tak bardziej po środku, żeby nie drażnić.

3 złote 40 groszy – wartość człowieka

Dla naszych działań znaczenie miało to, że cenzura osłabła. Krakowska cenzura to była dosyć znośna.

Ja wtedy przedstawiłem wyliczenia. Były oparte na danych, niemniej jednak troszeczkę demagogiczne, co tu wiele mówić. Efektem było wyliczenie wartości pojedynczej jednostki w społeczeństwie, że człowiek jest wart 3 złote i 40 groszy w tych czasach. Jeden krakowianin na przykład. Tak cię oceniają władze. No i to zostało

podchwycione przez wiele ośrodków zagranicznych: Wolna Europa, „Kultura” paryska, i tu w Polsce też.

Alternatywa. Projektowanie sozologiczne

Już pierwszy temat, jaki wydałem w swej pracowni, związany był z projektowaniem sozologicznym. Pierwszy raz poprowadziłem z tym rokiem, na którym był Krzysztof Hamiga, przyszły asystent w Katedrze Kształtowania Środków Pracy. To był mój pierwszy rok projektowania sozologicznego.

Skąd ta nazwa? Tak rozpoczęło się projektowanie na bazie ekologicznej, to znaczy prozdrowotnej we wszystkim, co człowiek czyni: i w jedzeniu, i w leczeniu się, i w sposobie ubierania się, itd. I wtedy, ponieważ troszeczkę się zbliżałem do problematyki ekologicznej, dowiedziałem się, że prof. Walery Goetel – polski ekolog – taką nazwę wymyślił – „sozologia”. On właśnie dokonał tego ważnego rozdziału w ramach ekologii. Wyodrębnił człowieka jako istotę, która zupełnie innymi prawami się rządzi aniżeli całokształt natury i wszelkie inne gatunki w świecie. Że kieruje się głównie rozumem i czasami ten rozum dyktuje mu bardzo szkodliwe działania przeciwko ekologii, przeciwekologiczne, robi to dla innych wartości, na przykład z chęci zysku. Stąd wziąłem dla siebie jako ideę projektowanie sozologiczne.

To się jednak nie przyjęło. Każdy się pytał, co to oznacza. A kto to? A co po tym się robi? Itd. Trzeba było za każdym razem tłumaczyć. Później ja sam zgłosiłem na Radzie Wydziału chęć zmiany nazwy i wszyscy jakby potwierdzili, rzeczywiście jest to problematyczne i daliśmy bardziej obiegowe określenie „projektowanie alternatywne”. I od tego czasu tak to funkcjonuje. Nie znaleźliśmy lepszej nazwy. Chociaż można różnie wartościować tę alternatywność. Niekiedy nawet negatywnie. Jaka alternatywa?

Nadałem wtedy ściśle ukierunkowanie temu projektowaniu alternatywnemu. Bazowało na przesłankach ekologicznych, to znaczy uniwersalnych dla wszystkich ludzi,

czy mieszkają na wsi, czy w mieście. Z drugiej strony było to zarazem projektowanie wyprowadzone z tradycji życia w naturze, jakie prowadzi wieś. Oni są w sercu natury. Byli przynajmniej. Byli, bo to, co się podziało w tej chwili z wsią, to jest dramat. Człowiek należy do natury, jest częścią przyrody, stąd jego natura. Czy będzie żył wbrew niej, czy z nią w zgodzie? Gdy mówię o życiu w sercu natury, to znaczy coś jeszcze więcej.

Z czasem rozwinąłem to moje rozumienie projektowania alternatywnego, a więc zarazem program mojej Pracowni Projektowania Alternatywnego.

Cywilizacja Ochotnicy

Dzisiaj wszelkie środki masowego przekazu ciągle głoszą, że to jest zacofanie itd. Wieś to jest ten drugi sort i to po prostu doprowadza do kompleksów ludzi, chcą koniecznie być miejscy. Chcą koniecznie żyć jak w mieście, mieszkając na wsi. Jeś tak jak w mieście, już się wstydzą swoich potraw.

Do Ochotnicy jeżdżę. Ja tam aż proszę tych górali... W to samo miejsce do tych gospodarzy jeździł też poeta Bronek Maj. On jest mężem Bogny Dziechciaruk, dyrektorki Mangghi. Mają dwóch synów. Razem jedliśmy przez wiele lat obiady u górali. Wszyscyśmy prosili: „Basiu, zróbże takie jak wyście dawno jedli. My tego chcemy. My tu po to przyjeżdżamy”. Za cholerę nie zrobi. Ona już nie umie. Babcia by zrobiła jej. Ona nie chciałaby tak „zmarnić” stołu, kierunku swojego żywienia. Czuję, że ona chce nam pomóc jako mieszkańcom miasta, żebyśmy nie odczuli różnicy. Błąd potworny. Dlatego ja czasami, jak miałem tam jechać, to dzwoniłem: „Słuchajcie, upieczcie mi placek na blasze bez tłuszczu, prosto na blasze z takiego ziarna z przemiału”. Dawniej wszystko było. W tej chwili oni kupują mąkę w mieście, mleko kupuje się w mieście. Kur, krów już mało.

W sprawie tego całego ubioru na wsi... też czasami wyzywająco i jeszcze gorzej. Księża mają kłopot, bo nie chcą

do kościoła wpuścić. Z „gołą dupą” przychodzi taka. Bo jest taki trend i czasami chcą nawet ci ludzie przesadzić, robić więcej nawet, niż na ogół się dopuszcza. Dlatego jak ja na wieś wracam, to wracam do gwary i gadamy, jak się w naszych stronach gadało.

Miłkowa

Moja rodzinna Miłkowa jest stosunkowo blisko Podegrodzia, a do Nowego Targu też jest nie tak daleko, no i Krynica. Do Krynicy mamy tylko 30 kilometrów.

O kie my by mieli godać, po naszymu? To język z pogranicza. U nas na przykład nawet na weselach były większe wpływy krakowskie, czyli takie przyśpiewki krakowskie. W każdym razie krakowiaka się tańczyło, taki był ludowy krakowiak. To się nazywało krakowiak, czy tam polka, karmelek, czy jakieś takie rzeczy, wściekła polka. Ciut dalej jest Podegrodzie. Podegrodzie ma już swój wyraz, to bardziej wyraźna, odrębna kultura. Zespół muzyczny Podegrodzie jest bardzo znany. Dalej od Podegrodzia do Łącka to już jest też rzut beretem. Ale śliwowiece robiłem taką samą, może lepszą niż w Łącku. To się robiło, jak jeszcze mały byłem, wtedy to się robiło śliwownicy dużo i nawet jak rodzice nie widzieli, to ja z łyżeczką podchodziłem i grzmociłem. „Lubiłem” to. Niedawno projektowałem etykiety dla jednego wytwórcy śliwownicy.

Księżycówka, paryjówka

Niegdyś mówiono „księżycówka” albo „paryjówka”. Paryja to jest rów, parów jak gdyby. Paryją rzeczka płynie, są brzegi i taki wawóz. Wytwarzanie śliwownicy było zabronione, a więc to się działo w paryjach, przy księżycu, w nocy, kiedy milicja już nie chodziła. Wtedy tacy normalni gospodarze tam rozkładali swoje narzędzia, rurki miedziane, kotły. Przecież u nas siedziały te kotły, to się kisiło. Potem zanosili tam do paryi, instalowali i rano wódek było pełno.

Księżycówka, bo przy księżycu. W każdym razie na tej etykietce księżyc zainstalowałem.

Znamy się świetnie z Jackiem Łodzińskim, to niesłychanie sympatyczny człowiek. Bardzo się przyjaźnimy od dawna. On mi wiele razy pomógł jako sponsor itd. W każdym razie dla niego kupiłem chyba ze 30 butelek tej paryjówki w zeszłym roku. Brat podzwonił gdzieś po okolicy i to była wódka sprzed ubiegłego roku, bo z ubiegłego roku była kiepska: łało i owoce nie miały cukru. Wszystko było kwaśne jak cholera, niedojrzałe. Mieli faceci jeszcze sprzed zeszłego roku, a wtedy była pogoda świetna. Łodziński najpierw zamówił sobie 10 w Łącku przeze mnie, bo ja tam znam, jak w Łącku produkują. Tego nie powinienem mówić, to nie powinno pójść w świat... Już nieomal w ogóle nie ma takiej prawdziwej paryjówki, bo teraz pojawiło się mnóstwo podróbek. Dziadostwo robią i tacy różni chodzą po placu w Łącku i oferują, a to wszystko jest jakaś mieszanina, troszkę spirytusu. Cyganią jak cholera. A to jest z prawdziwego źródła i Łodziński zamówił sobie 10.

Paryjówka, oscypek – to powinno zostać opatentowane. To jest nasza polska głupota pierońska. My tylko widzimy, co ktoś zrobi. To, co się u nas robi, to się ma w nosie i lekceważy, i nie wyciąga się z tego żadnych wniosków.

I później dałem mu spróbować tej wódki ze wsi. Dużo lepsza niż ta z Łącka jeszcze. To jeszcze 20. On to zakopał gdzieś do ziemi, że to tam będzie leżakowało w pudłach czy coś, do swoich potrzeb.

Profesor Morfeo Cracoviensis

Kręciliśmy też z Pawłowskim filmy w czasie, gdy byłem asystentem. Jestem aktorem, przecież grałem w filmie *Profesor Morfeo Cracoviensis*. Razem z Henrykiem Arendarskim graliśmy role studentów. On wtedy także był asystentem.

Scenka: my podchodzimy do bufetu. Na plecach mamy wypisane „student”, a Pawłowski jest barmanem. Takie miał rozczesane włoski, fryzurę se zrobił, ręczniczek... Kolejno padało pytanie, a odpowiedź udzielana była językiem

obrazu. I w pewnym momencie on do nas podszedł i oczekiwał na zamówienia. Na półce stały butelki. Etykiety, jedna „fizyka”, druga „ergonomia”. Wybieramy, pokazujemy:

– Ta, ta, ta.

A on robił koktajl, jeden do kielicha Arendarskiego, drugi do mojego. To były duże kielichy! My gadamy sobie z Arendarskim, dyskutujemy i później w pewnym momencie on odwraca naszą uwagę, pokazuje coś, my się odwracamy, po kryjomu dolał coś swojego. W ten sposób pokazał rolę nauczyciela. Jest tak, że student ma wolność osobistą, według własnych zainteresowań dobierać sobie wiedzę, budować całokształt, natomiast pewne elementy, czy on tego chce, czy nie chce, są potrzebne. A dobrze, aby o nich nawet nie wiedział. Nie ma czystego partnerstwa. Całkowicie – to nie. Ja to rozumiem. On jako dojrzały pedagog wie, co może nam być niezbędne, a co możemy z głupoty, niewiedzy pominąć. To było cenne. Później jest jeszcze wiele scen tam w filmie, kiedy gramy. A nas tam było trzech wykonawców: Kolanowski, Arendarski i ja. Oraz Anioł, czwarta osoba. Dziewczyna grała rolę Anioła. Kawiarnie były wtedy cztery w Krakowie, na krzyż. Poszedłem wtedy do Kopciuszka na Karmelickiej, potem był tam Koktajl Bar. Upatrzyłem ładną dziewczynę przy stole. Podszedłem, zaproponowałem, że potrzebujemy aktorki na Anioła.

– Tak, proszę bardzo. Gdzie mam przyjść?

Scenka. Smoleńsk 9, trzecie piętro. W tym oknie, które jest, jak się schodzi do Ani Szwai (pokój 307) po schodkach, pierwsze okno. To było przerażające, ja po prostu uciekłem wtedy. Okno było otwarte. Anioł tam wleciał i stanął w oknie. Nie była przywiązania niczym, a oni na nią z odkurzacza dmuchali. I żeby wiatr był na tych skrzydłach, żeby się to ruszało. Odkurzacze ma ssanie z jednej strony, a z drugiej pchanie. Ja sobie myślę: „Rany Boskie, nie wytrzymam tego”. Uciekłem stamtąd, nie wytrzymałem tego. Przeze mnie by się zabiła.

Pawłowski był naprawdę dobrym aktorem. Miał tę wyobraźnię i zgrabność ruchową. W filmie pięknie prowadził wykład na kongresie w Kanadzie.

Przyjeżdża z parasolką swoją. Upał był wielki. Najpierw moczy się, myje nogi w miednicy itd., a później wykład zaczyna. Anioł podchodzi i podpowiada, a on z tą parasoleczką. Jak on to pięknie zrobił. On był aktorem piątym, najistotniejszym. Mój syn Maciek tym się zachwycił.

– To jest fantastyczne, co to za człowiek ten Pawłowski? On tak dalece potrafi się oddać, nie miał żadnych zahamowań, nie zastanawia się: to mi wypada, a to mi nie wypada.

Pawłowski leżał na podłodze w majtkach, bo to gorąco, to w lipcu chyba. Kolanowski w pewnym momencie ciągnie go za nogę.

Wychodziło na jego

Pawłowski to był wielki człowiek, wielki. No myśliciel, twórca zdolny niesłychanie i innowacyjny, bardzo innowacyjny. Nie bał się wystąpić z propozycjami, które w tych czasach mogły się niektórym wydawać szokujące. Ale to wszystko było niesłychane i kształcące dla nas jako studentów... jak się to ocenia także dzisiaj.

Nas wciągał w swoje plany, prace. Gdy wieczorem rozchodziliśmy się do domów, to Pawłowski zawsze zwracał się z taką prośbą: Słuchajcie, pomyślcie, mam taką a taką sprawę, taki a taki problem, co byście wy zrobili na moim miejscu? Mieliliśmy pomysły, różne, ale zawsze wychodziło na jego. Zawsze.

Myk, myk. W Pieskowej Skale

A miał wystawę w Pieskowej Skale w 1966 roku. Dużą, w zamku. Antoni Dzieduszycki był wtedy kustoszem tego zamku. Pojechaliliśmy we dwóch robić tę wystawę. Trwało to cztery czy trzy dni. Do spania mieliśmy komnatę, niesamowitą, piękną. Wystawa była na dole w salach wystawienniczych, on tak niesłychanie spokojnie wszystko organizował:

– To tu przesuniemy, tam śmieci, pudła jakieś to tutaj, to tam.

Ja sobie myślę: „Cholera jasna, zbliża się wernisaż, a tu bajzel”. Za chwilę wchodzi ekipa, jak ta wystawa będzie wyglądać, jakoś trochę niezorganizowane to mi się wydawało. Wchodzi ekipa robotników. Myk, myk. Posprzątali. Patrzę, no kurczę, ale wystawa. Świetna z każdej perspektywy. On chodził spokojnie...

Haska

Na tę wystawę w Pieskowej Skale nie pojechał Antoni Haska. Oni w ogóle się troszkę kłócili. Haska troszkę zazdrościł. Nie był łatwym człowiekiem. Z czasem Pawłowski chyba chciałby usunąć Haskę. Trochę nie mógł wytrzymać błędnych decyzji Haski, gdy został dziekanem, który w ogóle nie czuł po prostu organizacji ani gospodarki. Nie czuł. Koniecznie chciał po prostu być dziekanem.

Pawłowski chciał w ogóle usunąć katedrę Haski, Katedrę Barwy Przestrzeni Przemysłowych. Ten się odwołał do pl. Matejki i chyba nawet do organizacji partyjnych, i wygrał w tym sporze. Pawłowski miał wtedy wielki projekt reorganizacji Wydziału. Sprawa Haski była drobnym detalem rewolucji. Uniemożliwiono Pawłowskiemu w ogóle realizację całego planu.

Ja Haskę zapamiętałem jako mądrego człowieka. Mądry z wyobraźnią ogromną, z wielką dyscypliną, taką, jaką umiał zastosować do studentów w trakcie zajęć. On jak gdyby natychmiast zauważał, że ktoś błędzi gdzieś w obłokach i nie uczestniczy w zajęciach. Zaraz go pytał. Od razu. Niech pan skomentuje to czy tamto. To się później wszyscy bali jak cholera.

Hajdecki

Mieliśmy do wyboru tak zwane kształtowanie przedmiotu albo kształtowanie przestrzeni. Przestrzeni prowadził Haska, a przedmiotu Antoni Hajdecki. Hajdecki był wspaniały kompan, bo on był prezesem Związku Plastyków. Wspaniały człowiek, bardzo wiele pomógł

Wydziałowi... Korzystając z koneksji partyjnych. Miał tam bardzo mocną pozycję.

Z tych dwu zawsze wybierałem Haskę. Hajdecki nie czuł za bardzo sprawy. To prosty człowiek, taki technik troszkę. Nawet jego pomniki są takie marne.

„Trójwymiarowiec”

Gdy chciałem sobie porzeźbić, to wracałem na Wydział Architektury Wnętrz, gdzie rzeźbę prowadził prof. Franciszek Kalfas. Pozwalał mi, mawiał:

– Widzę, że pana interesuje, proszę bardzo.

Przylepiał mnie do jakichś tam zajęć. Rzeźba interesowała mnie bardzo, w ogóle jestem „trójwymiarowiec”. Z czasem robiłem plakaty, ale to wszystko jest rejestracja czegoś, co ma charakter trójwymiarowy, a to, co zacząłem robić teraz, to w zasadzie jest tylko przejście z reprodukcji na rzeczywistość.

To znaczy reprodukcją jest plakat, stanowi pewne spłaszczenie wizji rzeźbiarskiej. Dzisiaj tworzę prawdziwe wizje, prawdziwie przestrzenne. Próbuję to robić. Zaczynałem od Antoniego Kępińskiego, wyobrażeń nawiązujących do jego myśli. Tam się otwierają obrazki. Podobnie jak w tym „wywrotowcu”, wychodziłem od namalowania szablonu. No ale z czasem oprzytomniałem. Myślę sobie: „Przecież, cholera, to ciągle jest aluzja, imitacja, ilustracja, a można oddać się własnej wizji”.

Wszystko mi tu pomieszało

To epizodzik, bardzo ciekawy, który wiele mówi o Pawłowskim. Jeszcze jako student czwartego roku projektowałem pulpit reżysera dźwięku w telewizji krakowskiej. Chodziłem do telewizji. Wtedy jeszcze pracował tam Adam Gedliczka. Zapewne dlatego, już na Wydziale, z czasem zajął się wozami transmisyjnymi. Uczestniczyłem w nagraniach, prowadzeniu audycji... Siedziałem sobie cicho, za reżyserami w reżyserce. Tamto miejsce prosiło się

o zmiany. Już na Wydziale zrobiłem makietę w skali jeden do jeden. Projektowałem, starając się ergonomię złapać. Wszystkie parametry. Wtedy na Wydziale projektowanie trójwymiarowe stało na wysokim poziomie. I to dużych obiektów, szczególnie u Zbigniewa Chudzikiewicza. Wolno posuwałem się do przodu, pracując na tej makiecie tego pulpitu. Wiele imitowałem, tu położyłem gumeczkę, tu linijkę, tu ekierkę. Udawałem aranżację, używając dostępnych przedmiotów. Niczego nie mocując, niczego w tym celu nie przygotowując – co miałoby większy sens. W pewnym momencie przychodzi. Pawłowski już chodził po sali. Przychodzi, wszystko mam popieprzone, poburzone. Myślę: „Kurde, kto mi to rusza?”. Porządkowałem od nowa, kombinując. Trochę to trwało. On długo przeprowadzał korekty. Po jakimś czasie wracam do mojego stołu, patrzę, znowu poruszane, i tak jeszcze trzeci raz. Przyłapałem go wtedy. Wszedł, trącił wszystko... Pomieszał mi, cholera jasna.

Bawił się. Często nie mówił o pracy, o robocie, ale o bawieniu się. Tak myślał o pracy. W ten sposób prowokował, dawał do przemyślenia?

Warunki pracy

Nie tylko mieliśmy zajęcia, ale także pracowaliśmy w dużej sali. Od dawna była już podzielona na część Otręby, dla komunikacji wizualnej – to znaczy: Otręby, Władysław Pluty, Jana Nuckowskiego – oraz na część Gedliczki, niegdyś Katedry Kształtowania Środków Pracy, teraz Ergonomii.

To była jedna wielka sala, całkiem inna była architektura. Był stół koło stołu, Pawłowski nawet wtedy to przewidział, żeby studenci pracowali na miejscu, w szczególności dyplomanci, każdy miał jeden boks, przegroda... Stoły wszystkie jednakowe, wszystko było eleganckie. Parawanik. Gdy pracowałem nad makietą pulpitu reżysera dźwięku, nie miałem boks, ponieważ byłem na czwartym roku. Działalem w przestrzeni testowej.

Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że wtedy, za komuny, państwo działało na kredyt, Polska została zadłużona, czego my, studenci nie odczuwaliśmy. Nawet przeciwnie niż dzisiaj. Na przykład gdy byłem studentem na malarstwie, na początku semestru zawsze się dostawało wyposażenie. Blejtramy, płótno lniane ileś metrów, grunt do zagrun-towania, komplet farb, komplet pędzli. Taka wyprawka. Dzisiaj nie ma o tym mowy. Wtedy środki do pracy kupo-wało się na rachunki, a wszystko było zwracane.

Partia

Byłem nagabywany, aby zostać członkiem partii. Dla mnie, dla Pawłowskiego byłby to rodzaj złamania kręgosłupa. Na niego naciskano x razy. Pamiętać przy tym trzeba, że musiał mieć kontakty, na przykład gdy zakładał Wydział. Każdy urząd państwowy obsadzany był przez członków partii. A główne decyzje zapadały w samej partii. Tak po-znał Szymona Bojkę. Bez tych kontaktów niczego by nie załatwił. Nigdy nie wstąpił do partii. Jednak został dzieka-nem, pierwszym dziekanem Wydziału. Ponownie dopiero Solidarność go wyniosła. Wtedy to już tchórze nawet rzu-cali legitymacje partyjne. Wtedy to się jak gdyby wyciszyło.

Studenci z układu byli forowani... Na przykład u Paw-łowskiego na roku był syn czy wnuczek Mieczysława Drobnera, wysoko partyjnego... Pawłowski go chciał wy-pieprzyć z Wydziału, skoro to był Leser trochę. I od razu telefony przyszły, że on musi absolutnie Drobnera zacho-wać. On powiedział:

– W takim razie musicie wybierać: albo ja jestem dalej dziekanem i ja decyduję, albo wkładacie Drobnera, a ja re-zygnuję.

Postawił taki warunek. I wtedy wypieprzył trzech czy czterech studentów, w tym Drobnera. Jacka Stokłosę, cho-ciaż ten odszedł na własne żądanie. Ten świetny grafik: Krzysiu Skórczewski, on był też na Formach. No i ci prze-szli na grafikę, a Drobner – szczerze mówiąc – nie wiem, gdzie przepadł.

Hajdecki był w partii, oczywiście, Otręba był, Wodnicki był, z młodszych Andrzej Ziębliński, kto tam jeszcze był? Wincenty Kućma. Czesław Dźwigaj. Kiedyś pracował tu, na Formach.

Rzeźbiarzy najwięcej było członkami. Józef Sękowski, Stanisław Batruch (to malarz), Marian Konieczny. Wiadomo, wszyscy byli. Jeden chyba Stefan Dousa nie należał. Trafił na Politechnikę później.

13 grudnia Wodnicki oddał legitymację, a później znowu ją wziął. Nie pamiętam. On poszedł i wziął, takie balansowanie. To chwiejność taka bardzo duża, chwiejność decyzji, po prostu próba... Zabezpieczenia się? Taka troszkę niegodna niekiedy. Mam zdanie albo nie mam zdania.

Przy czym on był zawsze taki, chociaż był członkiem partii, to jednak zajmował pozycję rozsądkową, nie był fanatykiem, żeby z tego powodu żerował na czymś, on był raczej idealistą, takim rozumiejącym.

Była cała seria „funkcjonariuszy uwagi” na Akademii, począwszy od Hajdeckiego. Później był Stefan Borzęcki, później był Sękowski i później był Jerzy Nowakowski. Rzeźbiarze. W pewnym momencie wszedł Batruch, on z malarstwa jak gdyby. Później był taki Krzysiu Rajner. Też był znowu przewodniczącym Związku Młodzieży Socjalistycznej. Wśród młodzieży także nie brakło aktywistów... Przyszłych nauczycieli.

Rachunek istnienia

Pracuję nad... Będzie 36, może 40 tych modułów, o jednokowym wymiarze 25 razy 38 centymetrów. Cykl obrazów. Tytuł jest taki: *Rachunek istnienia, czyli zmodularyzowany autoportret naturalnego pochodzenia*.

Moduły te będą w sumie stanowić opowieść o mnie samym. Czyli ja mówię o sobie samym. O swoich narządach, zainteresowaniach, również o swoich cechach anatomicznych. Będzie odcisk na przykład dłoni na jednym. Na drugim odcisk stopy. Na trzecim też w piasku zanurzę trochę zużytych pędzli, czyli to, co używanie. Na

następnym będzie, powiedzmy, mój inicjał, podpis, inicjał, pędzle, portret taki fotograficzny.

Na innym znowu na papierze milimetrowym będzie rysunek z wymiarami: nosa, ust, oczu. W kierunku designu troszeczkę, taka antropometria. Będzie moje pismo, fragmenty z Antoniego Kępińskiego. Jego myśli dla mnie ważne. Moich sześć kolorów, które używam, to będą fakturalnie – ciach, ciach, ciach. Jeden taki obraz, moduł, zacznę, ale nie będę go kończył w pełni, tym moim tamponikiem, którym robię plakaty, projekty. Tak że szkice nakleję. Przy tym użyję trochę różnych materiałów naturalnego właśnie pochodzenia również: skóra, stare drewno, sierść owcza, bardzo stare, bardzo grube płótno, słoma, gaza opatrunkowa, tamponik, jaki mam, pędzelek – nie pędzelek, tylko gumka, do tego kawałeczek tego, z czego robię narzędzie. Również przestrzenne otwieranki jakieś. Oko sztuczne. Tak, tak oko sztuczne. Gdzie można kupić oko szklane? Muszę się dowiedzieć. Dam głowę z plakatu, który robiłem do Heilbronn, to mój autoportret, w sepii narysowany. Stary plakat, który ma takie prawie wymiary, że będą tutaj pasować. I on też jest naciągany na tę ramkę. Sznurkami. To jest we mnie w tej chwili, że wracam jak gdyby tylko w trzy wymiary. Z tego mam zamiar albo ułożyć kompozycję, która będzie w całości zorganizowana i już zamknięta, albo taką, która się dopiero organizuje. Niedokończony, jakby dzieje się... Pojawiają się białe plamy i one idą, spadają z góry, że nawet tutaj cień szuka swojego miejsca.

Na razie zrobiłem tyle, bo wczoraj przyjechałem dopiero i sobie robię. To jest podkład pod stopę i pod rękę odciskaną, na tym piasek. Mieszam ten piasek z zaprawą, mam piasek morski, ten cieniutki. Piasek z zaprawą białą, która robi wrażenie farby białej, ale po uschnięciu ona znika zupełnie, staje się bezbarwna. Klei się fantastycznie. To żel medium. Wydaje się, że to jest farba, i to się świetnie miesza na przykład z piaskiem. Zmieszane na końcu posypuję suchym piaskiem i wtedy kładę rękę, inaczej by mi się przykleiło, resztę strzepuję, no i cześć.

Komisje i ocena

To było tak. Ja, będąc we Francji, sam doświadczyłem tego, jakie znaczenie może mieć praca komisji oceniającej na przykład dyplomy. Do Tuluzy przyjechała komisja gdzieś z Bordeaux, tej komisji nie wybierała szkoła, tylko odgórnie. Oni nawet nie wiedzą tego, kiedy, kto, gdzie przyjedzie. Tam jest tak, że cała komisja uczestniczy w ocenie, w jej pracy uczestniczy także promotor prowadzący danego dyplomanta, ale bez prawa głosu. On tam przysłuchuje się po prostu, jeżeli mają jakieś pytania, to mogą skierować je do opiekuna, ale on sam nie interweniuje.

Mówiłem wielokrotnie o absurdzie, jaki jest u nas. Doszło do pewnego skrajnego przeinaczenia, chyba troszeczkę dziwactwa, bo nie tylko, że cała komisja to są wszyscy z wydziału, ale również piszący opinię. Recenzenci to też są koledzy z tego samego wydziału i czasami jeszcze jest tak, że są związki prywatne, że niektórzy są w stanie się obrazić, to później jest rewanż, zemsta. Może nie mam tutaj jakichś dowodów na to, natomiast już samo prawdopodobieństwo tego jest. Przecież znam kolegów, którzy nie potrafią być bezstronni i jakoś tak odnoszą to wszystko do siebie, jako osobistą urazę, dotyk taki.

W projektowaniu graficznym mogliby być z zewnątrz, tym bardziej że poziom w tej chwili projektowania graficznego bardzo się różnicuje w poszczególnych szkołach w Polsce. Są w tej chwili inne uczelnie w Polsce na bardzo wysokim poziomie, i realizacje także. Zresztą widać po ostatnim, po jednym z ostatnich numerów czasopisma „2+3D”, jak były prezentowane dyplomy, to od nas był jeden dyplom, torba na listy dla listonosza, a tak to z innych szkół, i bardzo dobre dyplomy, między innymi ze Słowacji.

Iwo Kardel

Pamiętam Iwa, ma teraz pseudonim Iwo Kardel. Robi seriale, kryminały, pisze. On miał czas przez to zetknięcie się ze światem o bardzo specyficznym charakterze. Gdy był

w więzieniu, miał wiele czasu na myślenie. Wtedy się działa twórczo, jest samowystarczalnym, samemu ze sobą się dobrze czuje, ma się o czym myśleć, to są warunki ku temu nie aż tak złe. Więzienie było dla niego punktem zwrotnym.

Iwo nazywał się wcześniej Yves Goulais, przyjął nazwisko żony: Yves Goulais-Leśniak, a ona przyjęła jego nazwisko: Zuzanna Leśniak-Goulais.

W tym dramacie był jeszcze Andrzej Zaucha. Iwo zarzucał winę głównie Zausze, ale wina była po jej stronie bardziej. To był taki diabełek, ja ją jakoś nie bardzo lubiłem. Trochę szurnięta, można powiedzieć. To była szurnięta dziewczyna. Oni się poznali w czasie jej pracy dyplomowej u Jerzego Treli, którego Yves był asystentem. Ona go tak bardzo oczarowała. Ona to umiała zrobić, ale innymi kategoriami w ogóle myślała: nie tam miłością, tylko wyjazdy do Francji i kariera... Tego typu sprawy jak rodzina to dla niej nie istniały, w ogóle nie chciała mieć dzieci. On z kolei był bardzo rodzinny, jak był za granicą, przywoził jakieś ciuszki dla dziecka, bo chciał bardzo ustabilizowanej sytuacji. Ale ona w żaden sposób nie chciała... Zaucha to tyle, że był wdowcem. Ona przy nim zaczęła troszkę śpiewać i zaczęli coś razem wykonywać i jakby przypisywała sobie tutaj większą możliwość, z Zauchą aniżeli z Iwem.

Tak, Jezus Maria, ma wyrzuty sumienia, chociaż w tej chwili, już po tylu latach, nie chce specjalnie do tego wracać, ale tak, napomyka czasem. W tej chwili, o ile można tak powiedzieć, jest szczęśliwy, bo i zawód ma świetny, nieźle zarabia, pisze... W tej chwili internet pozwala na to, że nie musi jeździć. On mieszka jakieś 50 kilometrów od Warszawy. Jego żona jest projektantką mody i ma kontakty z firmami francuskimi głównie.

Odwiedzałem w więzieniu. Pierwszy go wyprowadzałem na spacer. Gdy pozwolono mu na pierwszy spacer, godzinny, to ja musiałem przyjechać. On mnie po prostu podał, więc się tam zgłosiłem, wziąłem odpowiedzialność na siebie i po godzinie elegancko, w sposób zdyscyplinowany, podeszliśmy tam, i cześć.

To był inteligentny człowiek, to nie był bandzior jakiś taki pierwszy lepszy. Był jednym spośród tych ważnych moich przyjaciół, oprócz Panka. U Panka razem bywaliśmy czasami, on tam oczywiście z wielkim zainteresowaniem siedział, ale nie mógł znieść – co tu dużo mówić – „zaduchu” u Panka. Brudu.

Jerzy Panek

Panek! Panek był dla mnie autorytetem, to był autorytet nieprawdopodobny. Zresztą w ten sposób się poznaliśmy. To historia poznania się z Jurkiem.

Była taka sytuacja niecodzienna, dla nas obydwu. Ja Panka oczywiście znałem z twórczości, nie znałem go osobiście. To były wyżyny dla mnie – jako gówniarza, tak mogłbym o sobie powiedzieć w stosunku do niego – niedostępności.

A postanowiłem coś takiego. Maciek, syn, miał chrzciny. Wtedy taki był jeszcze zwyczaj, że wszyscy dawali jako prezent pieniądze, najczęściej były to dolary, pięć dolarów. Pięć dolarów wtedy to była suma, to była wartość. Uskładało się wtedy tych dolarów troszkę i tak se myślę: „Cholera, co tu zrobić?”. Tak se pomyślałem, że najlepiej byłoby kupić coś cennego. I żeby nie była to rzecz, która będzie tracić wartość, ale wprost przeciwnie, i pomyślałem, że spróbuję udać się do Jerzego Panka, może by mi coś sprzedał. Odważyłem się i poszedłem tam wtedy do niego. Jeszcze wtedy był oczywiście w pełni sił. To było dobre 20 lat temu. Popijał wtedy ostro. Przedstawiłem się, on mówi, że on mnie zna, z plakatów zna mnie. To było bardzo sympatyczne. Po przyjacielsku pogadaliśmy i ja mówię, że... Wyłuszczyłem mu sprawę, jaką mam, i on mówi:

– No takie coś mi się jeszcze nie zdarzyło.

Wzruszył się tym i oczywiście poszedł na regał, i wyjął obrazy, żebyśmy se wybrał. Tam chyba dwa czy trzy przedstawił i ja se wybrałem jeden z nich, ale on wziął drugi i on dał od siebie w prezencie ten drugi Maćkowi, czyli wróciłem z dwoma.

Poznaliśmy się.

– No to przychodź tu do mnie – powiedział, znaczy wtedy jeszcze na pan, ot:

– Niech pan tu przychodzi do mnie.

Później przeszliśmy na ty, zresztą z nim to nie było trudne. On był bardzo towarzyski. Później już się zupełnie go nie krępowałem.

On był przede wszystkim doskonałym erudytą, miał bibliotekę kolosalną i później, jak już chorował trochę, to on mi mówił, w tej bibliotece swojej:

– Weź tę książkę... – na taki czy inny temat. Z pamięci wskazywał, która półka, jaki kolor okładki, jaka grubość, między którą a którą książką. Tak że on był niesłychanie odczytany i naogładany. On sztuką żył i wielkimi mistrzami, trudno mi jest nawet powiedzieć, kim szczególnie. No ale dobrą sztuką. Sam miał na przykład Tadeusza Makowskiego, trzy obrazy. Ale to jest inna sprawa. Makowskiego bardzo lubił, troszeczkę jest tam pewnego rodzaju echo wspólne, miał jedną grafikę Maxa Beckmanna, miał jeszcze Wyspiańskiego rysunek taki mały, sygnowany.

On cenił każdą dobrą sztukę, nie lubił – tak on to nazywał – „fryzjerstwa”. Fryzjer to taki fryzjerczyk, gdzieś się ślizgający ktoś, tak bez pogłębienia, bez jakiejś przewodniej i głębszej idei, powierzchowny taki. On tego nie cierpiał. Gdyby ktoś zmierzał do jakiegoś uporządkowania, po sobie posprzątania, to dla niego było przejawem fryzjerstwa.

Fryzjer

A ja byłem fryzjerem prawdziwym, bo faktycznie z praktyki jeszcze studenckiej. Strzygliśmy się w akademiku jeden drugiego, przecież nikt tam nie chodził do fryzjera. Jeden do drugiego się po prostu zgłaszał i mówił:

– No to ostrzyż mnie.

I ja tych głów ostrzygłem bardzo dużo, nie miałem lęku przed nożyczkami. No i Panek tak kiedyś mówi:

– Gorąco mi, cholera, ta broda...

A ja:

– No to ja cię ostrzygę.

– No to zrób – odpowiedział. I tak się zaczęło i później go obcinałem regularnie.

I rozmowy z nim to było przeżycie. On miał bardzo różną tematykę i wszystko było zabarwione takim jego osobistym oglądem tych spraw. Bardzo miał osobisty stosunek, w bardzo wielu przypadkach mocno humorystyczny. To prawda, później, już po wylewie, to zaczynało być męczące. On wtedy bardzo wymagał od rozmówcy pomocy w odzyskaniu pamięci. Miał fantastyczną pamięć i jego strasznie irytowała jej utrata. Szukał czegoś i nie mógł znaleźć, żądał pomocy, żądał wręcz.

– Był u mnie ten, no, no, ten malarz, no, znacie się, no, no....

Ja mu wymieniam różne nazwiska, mówi:

– No nie ten, no to nie znasz, ty baranie! – irytował się strasznie.

On w ogóle miał specyficzny swój światek i krążył wręcz legendy o jego poglądach, co to on tam wygłaszał.

Kozy, konie, on sam

Rozumiem, że Panka fascynowała koza. Ta jej natura, natura i ta ekspresja wewnętrzna tego zwierzęcia, w stosunku do krowy, która jest ociężała, potulna. Koza ma charakter zdecydowanie bardzo „osobisty”, ma charakter, powiedziałbym, taki diablikowaty. Ona ma w sobie coś takiego diabelskiego, szczególnie jak jest czarna koza. Cap. Koza to jest niesamowite zwierzę. Jaką kozę odważył Picasso. Piękna rzeźba, jedna z ładniejszych jego rzeźb to koza.

To bliski mi świat. Krowy, konie... Panek rysował dużo krów, rysował konie... Wspaniałe konie, konie w galopach, w różnych tam sytuacjach, więc konie, krowy, czasami też jakieś ptactwo, mały ptaków, głównie kozy, krowy, konie. No może: kozy, konie, krowy – w takiej kolejności. On ma zeszyty całe zrysowane, cały rysunek same kozy, takie

ołówkiem. Wiem, że oni chcą sprzedać to wszystko. Ale takim zeszytem to musi być już ktoś zainteresowany, jakiś zainteresowany głębiej aniżeli handlową stroną Jerzego Panka.

Rysował też kobiety. On je rysował w takim akcie, gołe, one obracały się tam na podłodze, a on rysował. Basia też...

Najwięcej, najwięcej siebie, bo on siebie *miał*. Lustro miał duże powieszzone z tyłu za tą komodą, gdzie miał grafiki. Patrząc z warsztatu, jak gdyby widział siebie w tym odbiciu lustrzanym i interpretował. On nie miał stołu, miał tylko warsztat stolarski, on tylko na warsztacie pracował, na warsztacie robił wszystko. Jak później opowiadał, ten warsztat to był i do pracy, i do jedzenia, i kochał się na warsztacie z kobietami. Jeszcze było tam łóżko, skrzynia, regał na obrazy, na te deski, a z drugiej strony, z tyłu, były regały z książkami, które czytał, oglądał zawsze.

Jego szczytowym osiągnięciem jest drzeworyt i ta seria wspaniałych o jednakowym wymiarze odbitek, i tych desek. On rzezał w tych deskach. Później, już pod koniec życia, troszkę zaczął przyglądać się bardziej studialnie. Pastelą. Też jest to urodziwe, ale w inny sposób. Już nie jest takie „pankowskie”. Nie są to te szczyty, raczej taka ścieżka, powiedzmy. Gdyby on taką uprawiał całe życie, to pewnie by nie był Pankiem.

Panek wiedział, że jestem na Formach Przemysłowych. Opowiadałem mu, co robię, jaki kierunek prowadzę, jego to interesowało. Zawsze w podtekstach mówił, że on jest z wsią związany, stąd ta miłość do zwierząt. On w Tarnowie się urodził, tam na przedmieściach ówczesnych, nad Białą.

Pimpek

Pimpka w ostatniej chwili poznałem... Śmierć Pimpka, który był takim spokojniejszym psem... On ją przeżył okropnie, on był zżyty z tym psem, samotny był i przelewał uczucie na psa. On nigdy nie mówił, że pies zdechł, tylko że umarł. Tak że on później przez miesiąc się nie pokazywał w domu, nie chciał wleźć do pracowni i się tak tułał po kolegach, po pracowniach i pił, głównie u Bebka

Mitarskiego. Bebek Mitarski to był psychiatra, znany psychiatra, pijak też niezły. Kiedyś go zresztą odwoziłem samochodem do domu od Panka, pijany dokumentnie. Spał u niego, kładł się na podłodze, zawinął się w dywan i spał.

Później ktoś Pankowi w zastępstwie Pimpka przyniósł takiego podrzutka. Ja w tej chwili nie pamiętam, kto mu z przyjaciół tego psa przyniósł. I on go przytulił, ale to był pies po jakichś ciężkich przeżyciach, on widocznie był maltretowany, torturowany przez ludzi, u których był. Każdą wyciągniętą rękę do niego natychmiast łapał i gryzł. Nie cierpiał czarnych butów, widocznie ten tam osobnik nosił czarne buty.

Z Maćkiem chodziłem do Panka, Maciek był mały. Maćka brałem na plecy na barana, wchodziliśmy tak do Panka, Maciek tam przechylał głowę przez drzwi, brałem krzesło, kładliśmy to krzesło na komodzie – miał szufladziak taki – i sadzałem Maćka tam. Maciek siedział tam wysoko na krześle, a Pimpek se chodził tutaj po podłodze. Panka też raz pogryzł, mówił: „Ten ...syn”.

Deska

On rzezał w tych deskach, zamawiał, nawet kiedyś też u mojego teścia, który był stolarzem na Politechnice. Grusza. Tych desek się uskładało około 500. Z tymi deskami to jest znowu cała historia. Jak one dostały się do Muzeum Narodowego jako dar. On nie chciał sprzedawać tych desek, a amatorów było mnóstwo, żeby kupować. One same w sobie były przepiękne. Jak weźmiesz ten katalog z wystawy w Muzeum Narodowym, to jest tam wszystko. Z pół katalogu jest w ten sposób załatwione, że na jednej stronie jest deska, a na drugiej jej odbitka. Rysio Otręba projektował ten katalog.

W grafice Panka – ogromna trafność w syntezie posuniętej prawie do maksimum. Za grafikę uważam jego drzeworyt, genialny po prostu. Odkrywczość nowych faktur, on rzeżąc w tej desce, jak gdyby bawił się, on to „lubił”. Kreatywnie cały czas funkcjonował. Poza tym, jak

sam twierdził, malował często po to, żeby być przygotowanym do zrobienia grafiki, i malował jakieś tematy takie o zbliżonym charakterze, i nawet niektórzy z krytyków w ten sposób określają, że w tych jego syntetycznych kreskach można wyczuć kolor – kolor ten, który on przyniósł ze studiów malarskich.

Do grafiki zapalił się nieprawdopodobnie podczas pobytu w Chinach, kiedy urzekły go drzeworyt chiński i spotkanie z miejscowymi artystami. Z ludźmi takimi prostymi, gdzieś po wsiach, z życiem Chińczyków. On w Chinach już zrobił trochę tych drzeworytów. To było stosunkowo możliwe, bez warsztatu większego. Do miedziorytu czy innych technik to trzeba mieć cały warsztat, czy do litografii. Natomiast tutaj to po prostu masz deskę i se można odciskać.

Miał poglądy komunizujące, zdecydowanie, ale to w tym dobrym tego słowa znaczeniu. No, że nie jest to dla korzyści jakieś tam, tylko że wszyscy są jakoś równi. Ta teoria jest piękna, wszystko cacy, natomiast ludzie potrafią wykorzystać każdą ideę na swoją korzyść.

Jego pierwsze grafiki po powrocie z Chin były właśnie zdecydowanie tematycznie. Czarno-białe, niemniej jednak wyraźnie były „czerwone”. Czyli jakiś tam Manifest Lipcowy albo zebranie na pastwisku, spontaniczne zebrania ludzi, którzy dyskutują o nowym systemie, i jak czytają te pisma, te ulotki.

Ciąg wymiarowy

Reprodukcje prac Panka, tych wczesnych także, pooglądać można w tym albumie. Duży album, spieprzony przez Otrębów. Fatalnie zrobił, oprócz grafiki, która tam jest. Odbitka oryginału – to jest nieźle, natomiast prezentacja wszystkich później utworów jest zhuśtana. Pluta to się nad tym pastwi ogromnie. Pluta zawsze dba o to, żeby zachować ciąg wymiarowy taki, jaki jest w rzeczywistości, żeby nie robić tu fałszu. Ten pozmieniał... To, co duże, zrobił malutkie, i odwrotnie. Elementarny błąd. Pomieszał tak,

że wszystko straciło swój wyraz... To się zupełnie nie trzyma, bo zupełnie nie tak. Sąsiedztwa są bardzo ważne przy każdej prezentacji.

Zamazanie czy coś

Forma naturalnie ukształtowana: Panek czasem także wykorzystywał słoje, jakie ma w sobie deska. Głębokie, mocne usłojenie. Ale większość ma jednak czystych, bo to jednak jest swojego rodzaju mieszanie się pewnych technik, środków wyrazu. Faktura usłojenia czasami może przeszkadzać.

Bardzo, bardzo, ja strasznie lubiłem te jego faktury, to rzeźbanie w fakturze, i czasami to sobie tak właściwie na swój sposób do niektórych obrazków zastosowałem. Ogromnie lubię zmysłowość, powierzchnię, ogromnie, taką fakturalną. Ja nie lubię tej czystości, nie lubię po prostu. Takie czystości, w sensie, że tu gładziutka plama, wyczelowana, że tam nie ma śladu jakiegoś, zamazania, czy coś. W każdym razie nie jest to mój świat.

Postawa alternatywna – kształtowanie alternatywne

Tak, z czasem poszerzyłem, pogłębiłem moje rozumienie tego, na czym polegać ma projektowanie alternatywne. A przez to także program mojej pracowni, Pracowni Projektowania Alternatywnego.

Być alternatywnym, myśleć i postępować alternatywnie to znaczy inaczej, przeciwnie w stosunku do myślenia i postępowania przez siebie nieakceptowanego. Alternatywa, w potocznym znaczeniu, to wybór pomiędzy dwiema wykluczającymi się wzajem możliwościami.

Postawa, której nie akceptuję, to postawa skrajnie konsumpcyjna i technokratyczna. Postawa łatwa do przyjęcia przez człowieka, bo budowana na jego najprostszych i najbardziej prymitywnych instynktach, a nawet żądach: dążenie do posiadania, do dominacji za wszelką cenę itp. Te naturalne instynkty ludzkie zostały potraktowane jako

moc napędowa dla zbudowania określonego społecznego układu konsumpcyjno-produkcyjnego. Instynkty te są w dodatku niezwykle przemyślnie pobudzane i potęgowane różnymi środkami i metodami za cenę jednoczesnej degradacji głębszych wartości humanistycznych i kulturowych.

Myśląc alternatywnie, zbliżam się raczej do filozofii Dalekiego Wschodu, która to doskonalenie siebie samego, podnoszenie swoich umiejętności i predyspozycji na najwyższy poziom traktowała jako szczytny cel człowieka i sens jego życia. Rozwój materialnego środowiska życia człowieka traktuje ona służebnie, z tendencją do jego minimalizacji.

Mam pełną świadomość utopijności marzeń o przebudowywaniu aktualnych ludzkich dążeń i sposobów postępowania. Wydaje mi się jednak, że gdzieś na styku tych dwu postaw szukać można racjonalnego i odpowiedzialnego postępowania i budować, i rozwijać humanistyczne cele przez podnoszenie ludzkich walorów na wyższy poziom kulturowy i etyczny, doskonaląc jednocześnie na miarę obiektywnych potrzeb materialne warunki życia i traktując je jednak jako służebne, a nie stające się celem same dla siebie.

Projektowanie alternatywne. Kierunek taki mógłby w większym stopniu gwarantować odpowiedzialną opiekę nad stanem naturalnego środowiska życia człowieka na Ziemi, mógłby przeciwdziałać postępującej niezwykle skutecznie degradacji tego środowiska w skali makro. Design dzisiaj nakręca ten proces, „więcej i więcej”, „wyżej i wyżej”, który pociąga za sobą eksploatację zasobów Ziemi. Jakby to „więcej”, to „wyżej” było sensem życia człowieka. A człowiek miałby się wstydzić tego, jaki on właśnie sam jest.

Kierunek taki mógłby w większym stopniu gwarantować opiekę na tymi, których dotknął los, w ten czy inny sposób, czy to jeśli chodzi o zdrowie, pozycję społeczną... A to właściwie, gdy zarazem odrzucony zostanie ten „wyścig szczurów”, a wartość życia nie będzie utożsamiana

z pozycją społeczną. Wydaje mi się, że możliwe jest projektowanie, które nie polega na budowaniu prestiżu, projektowanie, które nie buduje wykluczenia, nie piętnuje. Ale postulat kształtowania alternatywnego nie wynika z poczucia kompleksu, nie chodzi o pociechę dla tych, którym się nie udało.

Dostrzegam również inny nurt powszechnego postępowania, w stosunku do którego przyjmuję postawę opozycyjną. To uniformizacja świata, myślenia i zachowania się, stylu życia. Zaistnienie i ogromny rozwój środków komunikowania się (radio, prasa, telewizja, internet) spowodowały skrócenie czasu przepływu informacji, rozszyfrowały i upowszechniły ogromnie różnorodność i odmienności kulturowe, stały się one wspólną nieomal własnością wszystkich ludzi zamieszkujących Ziemię. Płyne z tego faktu oczywiście ogromnie wysoka korzyść. Jednocześnie ujawniają się jednak i niebezpieczeństwa. Kultura, obyczaje, zachowania się społeczności krajów uchodzących za najbogatsze stają się jakby wzorcem do naśladowania (w myśl zakorzenionego przekonania, że „bogaty ma rację”). Społeczności więc uboższe, chcące dorównać ekonomicznemu wzorcowi, zbyt chętnie przejmują również i adaptują jego wzorce kulturowe, wypierając się własnych, gubiąc je lub wręcz wstydzając się ich.

Zjawisko to obserwuje się również w Polsce. Tworzymy kulturę na wzór obcy. Należy śpiewać i tańczyć na wzór amerykański, jeść i ubierać się, poruszać się i witać – nie chcemy być polscy, chcemy być amerykańscy. Namiastkę Ameryki chcemy zbudować w Polsce. Jakże mogą być tego skutki? Czy właśnie ten Amerykanin będzie nas za to bardziej szanował? Gdy Amerykanin, przyjechawszy do Polski, pyta „Co u was się je? Gdzie można zjeść po polsku?”, z największą przyjemnością prowadzę wtedy mego gościa do restauracji Chłopskie Jadło.

Godnym partnerem jest ktoś, kto ma coś własnego – ma własną twarz. Czy ktoś, kto jest naśladowcą, wręcz kiepskim karykaturzystą kogoś innego, może być traktowany z należytyym szacunkiem?

Doprowadza to do ogromnego zubożenia świata. Rośnie wprawdzie jego potęga ekonomiczna, maleją jednak wartości kulturowe. Myślenie alternatywne nie jest tożsame z dwubiegunowością, na określaniu się przez wzajemne wykluczenie, przez negację. Sam sprzeciw wobec głównego nurtu, dominującej tendencji jeszcze niczego nie rodzi. Myślenie alternatywne domaga się miejsca dla różnorodności. „Wspólne mianowniki”, upowszechnienie tego, co triumfuje, postulat uniwersalności – to nie wystarczy. Może przykryć, ukryć różnice pomiędzy ludźmi, a nawet zniszczyć różnorodność. Postawa, którą nazywam alternatywną, nie sprowadza się do odrzucenia tego, co dzisiaj widzimy, co przeważa. Postawie alternatywnej bliski jest ideał różnorodności.



Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
1818

Wydział Form Przemysłowych



1964–2014(+10)

Janusz Krupiński

Krakowska szkoła designu.
Wizje, wyobrażenia,
wspomnienia
jej mistrzów i nauczycieli

Wydawnictwo
Akademii
Sztuk
Pięknych
im. Jana Matejki
w Krakowie

ISBN 978-83-66564-65-7



9 788366 564657